

Czarny las

Obudziłem się przed wschodem słońca, na niebie widoczny był księżyc w pełni. Silny wiatr wzmagał uczucie lodowatego chłodu, uniemożliwiającego spokojny sen. Obok mnie leżało dwóch żołnierzy, których ewidentnie wyczerpał wczorajszy marsz, trwający dziesięć godzin. Po przebudzeniu podszedłem do wygasającego ogniska w celu ogrzania się i wzmocnienia się jakimś posiłkiem. Zjadłem resztki swojej wczorajszej porcji. Z dnia na dzień przydział kurczył się, więc postanowiłem zawsze trzymać sobie jakieś resztki na kolejny dzień. Potem usiadłem i czekałem. O piątej nad ranem z dowództwa otrzymaliśmy nowe rozkazy. Mieliśmy przemierzyć pobliską rzekę w celu zajęcia lepszej pozycji strategicznej. Dowódcy naszych oddziałów dali nam tylko niecały kwadrans na spożycie swoich porcji żywnościowych. Nigdy wcześniej od czasu wyruszenia na front nie doświadczyłem takiego pośpiechu. Zbiórki odbywające się przed wymarszem trwały zazwyczaj niemal godzinę, a w dzień, pomimo długich i wyczerpujących marszów, przemierzaliśmy maksymalnie dwadzieścia kilometrów. Było to spowodowane nie tylko częstymi postojami i trudnym terenem. Naszą przeprawę utrudniały bezustanne naloty wrogiego lotnictwa. Zostaliśmy przez to zmuszeni do długich marszów przez liczne lasy. Mało kto zdążył się przygotować, zabrakło im czasu. Oddział, do którego zostałem przydzielony, składał się z młodych, nie przeszkolonych chłopaków. Jakikolwiek doświadczenie wojskiem miał jeden na dziesięciu z nas. Nawet w czasie odpoczynku okazywali strach przed śmiercią, chociaż szansa na atak wroga była zerowa.

Padł rozkaz wymarszu. Wyruszyliśmy w zwartym szyku, do przebycia mieliśmy aż pięćdziesiąt kilometrów. W dodatku czekała nas trudna przeprawa przez rzekę posiadającą rwący nurt. Nasza pozycja była nie do pozazdroszczenia, podczas pokonywania rzeki byliśmy wystawieni na ostrzał wrogiego lotnictwa. Brzegi były kamieniste, więc byliśmy doskonale widoczni. Dotarliśmy nad rzekę, licząc na krótką przerwę. Jak można było przewidzieć, nie doświadczyliśmy tego luksusu. Woda w rzece była granatowa, wzbudziła we mnie uczucie niepokoju, chociaż starałem się być apatyczny. Wiedziałem że w każdej chwili mogę zginąć, a obraz czyjejś śmierci nie był mi obcy. Spowodowało to, że przestałem okazywać jakiegokolwiek emocje. Podczas przeprawy przez rzekę straciliśmy naszą radiostację. Była to najgorsza sytuacja, jaka mogła nam się przydarzyć. Od tego momentu nie mieliśmy informacji o ruchach wrogach, nie mogliśmy otrzymać nowych rozkazów, czy wezwać wsparcia. Nasz dowódca zdecydował szybko – wykonujemy dotychczasowy rozkaz.

Musieliśmy przemierzyć jeszcze około dwudziestu pięciu kilometrów. Zmęczenie dawało się we znaki większości osób, tempo marszu drastycznie zmalało. Jeden fakt nie mógł uciec mojej uwadze. Marsz skończymy dopiero w nocy, narażając się na atak z zaskoczenia. Słońce z każdą minutą było coraz niżej nieboskłonu, zbliżał się wieczór. Las, który przemierzaliśmy, był gęsto zarośnięty drzewami, dominowały w nim świerki. Na poszycie składał się głównie mech.

Nastała noc, a las budził we mnie coraz większy niepokój. Z każdą minutą pogłębiał się nieprzenikniony mrok. W pewnym momencie widoczność spadła niemal do zera. Nie mogliśmy rozpalić ognisk, ponieważ zdradzilibyśmy swoje pozycje. Bez jakichkolwiek informacji o ruchu oddziałów wroga nie mogliśmy pozwolić sobie na takie ryzyko. W ciemności, która nas otaczała nie byłem w stanie niczego dostrzec. Przez korony drzew prześwitywały promienie księżyca, jednak poprawiało to moją widoczność w niewielkim stopniu. Leżąc z otwartymi oczami, usłyszałem wybuch. Moje serce zaczęło bić szybko, poziom adrenaliny gwałtownie wzrósł. Czeka nas bitwa – pomyślałem. Gdy ekscytacja minęła, zacząłem analizować sytuację. Pocisk został wystrzelony z moździerza, ale trafił jakieś pięćset metrów od naszego obozowiska. Oznaczało to, że przeciwnik nie mógł zlokalizować naszej pozycji. Dodało mi to trochę otuchy. Moje refleksje przerwał rozkaz wydany przez naszego dowódcę. Wszyscy złapali za broń, jednak nie mogliśmy nic zrobić. My także nie wiedzieliśmy, gdzie stacjonuje wróg. Czas płynął powoli, nagle poczułem uderzenie ciepła. Około dziesięciu metrów obok wybuchł granat, zaczęło się piekło. Wróg rozpoczął ostrzał, byliśmy przygwożdżeni. Strzelaliśmy na ślepo, wiedziałem, że częściej trafiamy samych siebie niż oponenta. Przestałem myśleć, bezrefleksyjnie naciskałem spust karabinu. Wokół mnie leżały ciała moich towarzyszy, w powietrzu unosiły się krzyki rannych. Walka trwała około godziny i z każdą chwilą byliśmy coraz bliżej porażki. Nagle z zachodu usłyszeliśmy krzyki. Przybyły posiłki z karabinami maszynowymi i moździerzami, szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Po przybyciu posiłków nasz przeciwnik stracił wigor. Strzały stawały się coraz rzadsze, wróg musiał się wycofać. Nie mogliśmy opuścić naszej pozycji, musieliśmy czekać na wschód słońca.

Gdy byliśmy w stanie zobaczyć cokolwiek wyruszyliśmy nad staw. Po opuszczeniu obozowiska, ujrzałem okropny widok. Wszędzie leżały ciała, moich towarzyszy i wrogów. Nasi oponenti musieli być bardzo blisko naszego obozu, a moi zmarli towarzysze, których znalazłem musieli obronić nas przed ich wtargnięciem do naszego obozu. Załamany wróciłem do mojego oddziału. Okazało się, że oddział przeciwnika był liczniejszy. Nasze straty były ogromne, przeżyła tylko połowa z nas. Postanowiłem pochować zmarłych, którzy przyczynili

się do naszej wygranej, a tym samym ocalili mnie i resztę oddziału. Widziałem, że na to zasłużyli. Zakopałem ich ciała, a nad ich grobami postawiłem krzyże, które wykonałem z gałęzi, ponieważ nie miałem pod ręką niczego innego. Odmówiłem za nich modlitwę. Po wykonaniu swojej powinności usiadłem i zacząłem zastanawiać się, czy to piekło kiedyś się skończy. Niestety nie mogłem dłużej nad tym rozmyślać. Z oddali usłyszałem rozkaz „do broni”. To kolejny oddział wroga zbliżał się do nas...